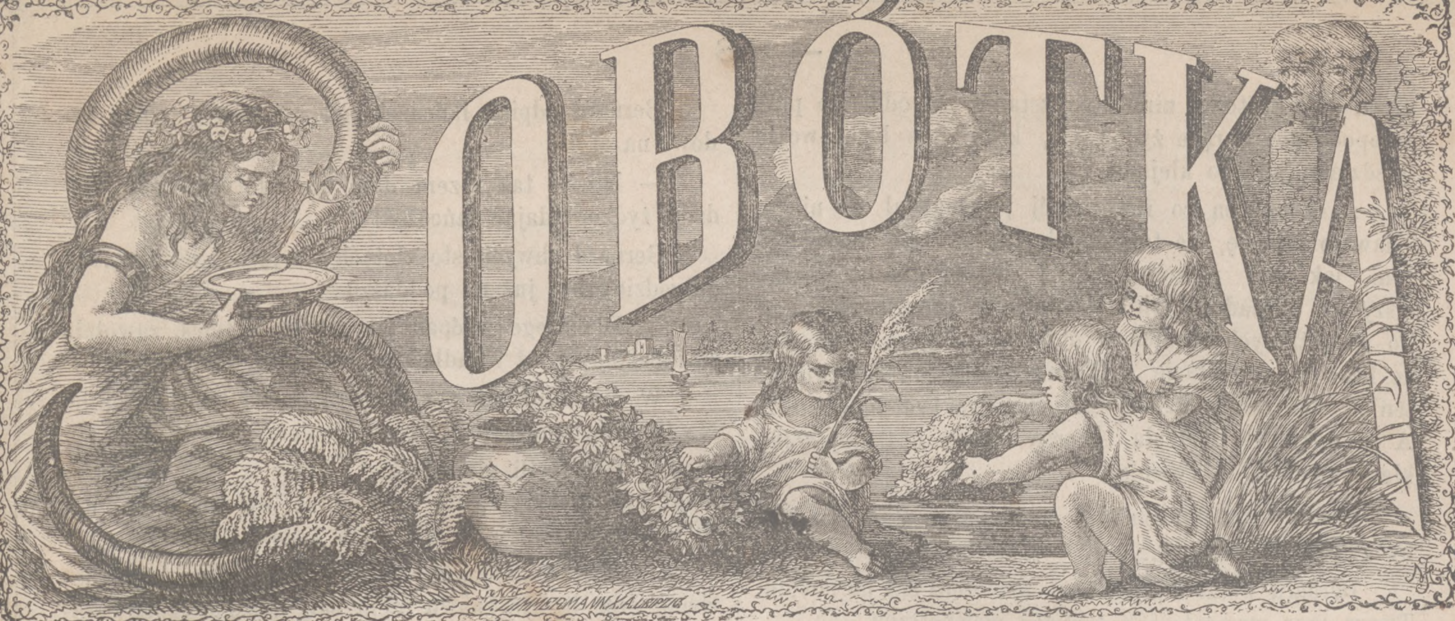


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 8. Poznań, dnia 19 lutego 1870. Rok II.

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

XIV.

W pokoiku swoim odetchnął Bernard, bo mu jakoś ciężko na sercu było, i usiadł, aby to wszystko w głowie swojéj uporządkować, co w tych kilku chwilach widział i słyszał. Karton położył na stole.

Najprzód podziękował Bogu, że go tak prędko uwolnił od mar strasznych, które go od kilku dni prześladowały. Obaczył teraz nad sobą niebo jasne i czyste. Ale to niebo miał okupić wielką, bardzo wielką ofiarą... Spojrzał na karton...

Miłość wyższa i szlachetniejsza, nie tylko kocha osobę, ale kocha to wszystko, co tę osobę otacza. Kocha jéj myśli, prace ducha, czyny i cały zawód, w jakim ukochana osoba jest czynną. Wszędzie bowiem tam jest cząstka życia drogiéj osoby, są jéj ślady, któremi szła, jest upominek ubiegłych przy pracy chwil... jest część téj osoby!

To téż leżący na stole karton, przyciągnął wszystkie myśli Bernarda do siebie. Wziął go do ręki i zaczął się mu przypatrywać z całą uwagą, jakby chciał policzyć wszystkie kreski — a przypatrywał się z niewypowiedzianą rozkoszą!...

Im Więcéj się w tajniki sztuki zagłębiał, tem większą czuł rozkosz, i tem większe wzbudzał zachwycenie.

Każda kreska była pociągiem jéj ręki! każdy punkcik był jéj dziełem! A wieleż to kresek i wieleż punkcików potrzeba było zrobić, aby cały obraz stanął w takim uroku, w jakim widział go właśnie Bernard w téj chwili?...

Na te kreski i punkciki patrzyły jéj oczy... o jakże one były szczęśliwe!...

Przechodząc od punkcików i kresek do całych figur, podziwiał Bernard i poił się artystycznem dotknięciem téj małéj rączki, która to wszystko tworzyła, jak Bóg sam tworzy... Cóż to naprzykład, za twarz u tego starca? To otwarta księga życia! Ileż to burz, ile trudu i znoju, ile ubiegłego szczęścia i rozkoszy zapisało się na téj twarzy?... Albo ten uśmiech młodéj kobiety do postępującego za nią mężczyzny, jakże on trafnie jest uchwycony i wykradziony z twarzy tych pięknych babel, które prócz tego złudnego uśmiechu nic więcéj w duszy nie mają!... Albo téż matka z uśpionèm dzieckiem na łonie! Jak cicho jéj pierś oddycha, aby dziecięcia nie zbudzić! Jak trworzliwie patrzy na szeleszczącą gałązkę drzewa, którą wiatr porusza, nie wiedząc, że dziecię jéj śpi!... A tych dwanaście, wzajemném uściskiem splecionych dziewic z mgły i eteru — ten szalony, nieubłagany wir tańcujących godzin — jakże smutno patrzą one w tym tańcu, że każdy ich obrot część życia ludzkiego stanowi, który policzony będzie!

Im więcéj wpatrywał się w ten obraz, tem więcéj przywiązywał się do niego, tem boleśniejszą była mu

myśl, że wkrótce z nim się rozstanie, że odda go prawdopodobnie w ręce żydowskie, które nie będą wcale wiedziały, jaki to klejnot!

A obraz ten co raz więcéj przemawiał do niego. Zdawało mu się, że tam mógł widzieć całą duszę Tereni, jak ona powoli rosła i uszlachetniała, zacząwszy od biesiadujących na dole ludzi prozaicznych, aż do powietrznych rusałek w obłokach... Zdawało im się, że kto takie postacie z takiem przejęciem się tworzy, ten od skończonego dzieła wstaje lepszym i zacniejszym!... A to wszystko tworzyła, choćby nawet naśladując jakiego mistrza — Terenia!

Nie, z tym obrazem nie mógł się rozstać. To byłby grzech śmiertelny!...

Bernard wstał i kilka razy przeszedł się po pokoju. Twarz jego wyrażała jakąś walkę wewnętrzną.

Po chwili wyjął kluczyk, otworzył małą szkatułkę i dobył z niéj — złotą obrączkę. Była to ślubna obrączka matki.

Łzy cisnęły mu się do oczu. Ucałował tę obrączkę i długo, długo w nią się wpatrywał.

Westchnął ciężko i odłożył obrączkę na bok... Potém wydobył z pudełka duży sygnet z herbem...

I ten sygnet ucałował i patrzał długo, długo na niego... Był to pierścień nieboszczyka ojca!

Potem, jakby się lękał dalszych wzruszeń, wziął prędko obrączkę i pierścień do kieszeni i wypadł za drzwi!

Szedł prędko i długo, ale nagle ocknął się i nawrócił. Szedł bowiem ku rogatkom miasta...

Na Franciszkańskiéj ulicy zatrzymał się. Spojrzał na numer domu i wszedł do małego pokoiku na dole.

W pokoiku nad rozżarzonym tyglem siedział żyd z siwą brodą. Bernard stanął przed nim i okazał mu pierścienie.

Żyd założył okulary i zaczął je na wszystkie strony oglądać. Potarł po kamieniu, pościągnął jakimś płynem, rys złoty został niezmazany. Potem wziął ważki, położył okrągły mosiądz a na drugą szalkę rzucił pierścienie!

Bernardowi mało serce z piersi nie wyskoczyło... Zimny żyd patrzał na ważki... czy on wiedział co na tych ważkach ciążyło?... Czyż wiedział, że na téj blaszanéj szali leżały jedyne i najdroższe pamiątki człowieka?

Gdyby wraz z tą okruszyną złota mogły widocznie ciążyć wszystkie jéj dzieje i wspomnienia, które się do niéj przywiązywały... gdyby dołączyły się do tego łzy, które nie raz to złoto skrapiały... ileż cętnarów potrzebaby było położyć na drugą szalkę, aby ten drogi ciężar zrównoważyć mogły?...

— To nie warte więcéj jak piędziesiąt złotych! odparł żyd spokojnie.

— Zlitujcie się! Ja bym tego innym razem nie dał i za tysiąc! zawołał Bernard w rozpaczy.

— No, ja tego nie widzę, co tysiąc złotych warte!... Może pan to widzi! To co innego!

Bernard odpiął łańcużek od zegarka i rzucił żydowi na stół.

— No, to tak razem dam sto złotych! odpowiedział żyd oglądając łańcużek.

Bernard chwycił sto złotych i wyszedł na ulicę. Za półgodziny był już na poddaszu.

— Dla czego waćpan tak prędko biegłeś, zawołała szambelanowa, aż zbladłeś ze znużenia!

W milczeniu położył Bernard sto złotych na stole. Na Terenię spojrzał z rozrzewnieniem.

W téj chwili nie wiedział, który z tych grzechów mógł być większym, czy żeby obraz był sprzedał, czy że jedyne pamiątki po rodzicach żydowi sprzedał?...

— Widzisz waćpan, rzekła szambelanowa z uśmiechem, otóż będzie znowu czem cały miesiąc naukę opłacać. Tak powinni biedni ludzie robić. Uczyć się, i pracą swoją dla większéj nauki spożytkować!

Bernard dłużéj nie mógł tutaj pozostać. Wyszedł do swego pokoiku, do obrazu... a może wyszedł, aby płakać!... Szambelanowa patrzała za odchodzącym z uśmiechem dobrotliwym, a Terenia zadumała się...

Za dwa dni wdrapał się listowy na poddasze z listem do Bernarda.

W liście były pieniądze — sto piędziesiąt złotych — z dopiskiem: „od przyjaciół generała Kwaśniewskiego.“

— Za te pieniądze możesz sobie waćpan co ciepłego sprawić! rzekła szambelanowa i wróciła do czytania.

— Nie mogę, bo mam dług! odpowiedział Bernard i smutno spuścił oczy w ziemię.

Szambelanowa spojrzała na Terenię, która w téj chwili czegoś szybko się odwróciła...

XV.

Kiedy te drobne i błahe rzeczy na poddaszu się działy, w salonach warszawskich bawiono się świetnie i dowcipnie na koszt pani szambelanowéj. Fama bowiem o niéj rozeszła się już po cały stolicy.

Zdania były podzielone, to jest, czy jest rzeczywiście bogata, czy nie. O inne zdania nie chodziło nikomu.

Otóż jedni utrzymywali, że jest rzeczywiście sromotnie bogatą, gdyż mieszkając w głębokiéj Litwie, między lasami i bagnami, przez lat trzydzieści kilka nic innego nie jadła jak mleko i ziemniaki, a grosz układała. Złośliwi nawet rozpowiadali, że trudniła się lichewką, pożyczając na dwadzieścia procent. Byli i tacy, którzy twierdzili, że w czasach niespokojnych korzystała z różnych zamieszek domowych i zawsze coś przy tem zarobiła

Dosyć że jakkolwiek przyznawano jéj znaczny majątek, zawsze jednak przez jakąś niewytłómaczoną zawiść dodawano różne komentarze do tego majątku, które wcale nie były godziwe.

Czy to była wrodzona ludziom zawiść, czy jakie inne powody przyczyniały się do takich wieści, trudno było wiedzieć.

Przyznawszy więc jéj znaczną fortunę, pozostała jednak ważna jeszcze robota dla salonów warszawskich, aby to dziwactwo szambelanowéj, która zamknąwszy się na poddaszu, do wielkiego świata należeć nie chciała, należycie wytłómaczyć. A to właśnie było rzeczą najtrudniejszą. Łatwo bowiem powiedzieć, że ten lub ów ukradł pieniądze lub je komuś przemocą wydarł, ale wytłómaczyć potém dla czego on tych pieniędzy nie używa, to rzecz nie łatwa!

Dla tego najlepsi dowcipnisie salonowi i najgłębsze rozumy wielkiego świata wzięły tę sprawę pod rozbiór.

Jedni widzieli w tem czystą wynikłość psychologiczną. Szambelanowa była od chrztu kobieta szpetna. Człowiek światowy i przystojny ożenił się z nią z jakichś zakulisowych widoków, których nie odsłaniano dla tego, że o nich nikt nie wiedział. Wiadome miesiące IMPani szambelanowéj przypadły nieszczęśliwem zrządzeniem Opatrzności w czasy, w których Warszawa, jak drugi Paryż, postawiła na ołtarzu bóstwa—kobietę ładną... w greckim znaczeniu tego słowa!... Trudno się więc dziwić, że w pamięci szambelan poszedł za duchem czasu i rewolucyi w wyobrażeniach ludzkich i ukląkł przed jakąś inną kobietą, któréj grecka piękność go zachwyciła.

Szambelanowa robiła co mogła, ale męża już rewindykować nie umiała. Sprawa jéj była tem gorszą, że szambelan nie ograniczał się na adoracyi jednego pięknego posągu, ale rozrzucał afekta i pieniądze na wszystkie strony.

Biedna szambelanowa szukała w nieszczęściu swojem, między swemi, sprzymierzeńców, płakała i spowiadała się z umartwień swoich, ale ludzie ówcześni nie mogli jéj innéj dać rady od téj, aby naśladując męża i zwyczaje, pocieszyła się poza granicami matrymonialnych zobowiązań.

Tutaj rozchodzą się zdania na dwie drogi. Jedni utrzymywali, że szambelanowa rzeczywiście zrobiła jakąś niefortunną próbę téj zaleconéj pociechy, która to próba fatalnie dla niéj wypadła! Drudzy zaś twierdzili, że szambelanowa poradziwszy się zwierciadła, zrezygnowała z góry z wszelkiéj próby, a ubrawszy się w nieprzebity pancerz cnoty, gadała po salonach skargowskie kazania, aż jéj potém nigdzie przyjąć nie chciano!

W każdym jednak razie zraziła się do wielkiego świata, który jéj męża odebrał, a żadnéj innéj pociechy nie dał, i poprzysięgła mu wieczną nieprzyjaźń. Wtedy wyjechała na Litwę i utonęła jak kamień w wodzie. Były wprawdzie głuche wieści, że poszła za ekonoma, że kochała się w jakimś sołtysie, a bylin awet tacy dowcipnisie, którzy twierdzili, że król pruski biorąc Gdańsk Rzeczypospolitéj i motywując ten zabór, że jest siedliskiem Jakubinów, miał tylko szambelanową na myśli, która w tym czasie miała się w Gdańsku znajdować.

Dla tego szambelanowa przyjechawszy z wnuczką do Warszawy, najęła sobie mieszkanie na poddaszu, bo z salonami wieczny rozbrat wzięła. Uczyniła to nawet z pewną ostentacyą, aby salonom warszawskim dokuczyć.

Co zaś z wnuczką swoją zrobić zamyśla, któréj prawdopodobnie da w posagu okrągły milion, tego nikt powiedzieć nie mógł. Jedni utrzymywali, że ją wyda za garbarza lub szewca i to znowu na to tylko, aby się zemścić na salonach i wielkim świecie, który jéj męża odebrał, a w zamian za niego nic nie dał...

Mówiono także, że w tym celu wychowała nawet tę wnuczkę, która zaledwie czytać i pisać umie, a po francuzku ani słowa! Ktoś ją nawet widział i utrzymywał, że ma piegi i włosy rude.

Takie były wiadomości o szambelanowéj w jednym obozie. W drugim wprost im zaprzeczano.

Mówiono, że szambelanowa jest zacna i rozumna kobieta, ale dzisiaj nadzwyczaj biedna. Mąż jéj stracił cały majątek, a to co jéj na Litwie zostało, było tak nie wiele, że z tego bynajmniéj milionu uskładać nie można było. Prócz tego były wypadki w rodzinie, które nie tylko że wiele pieniędzy kosztowały, ale nawet szambelanową do sprzedaży ostatniego folwarku zmusiły. I klęski krajowe przyczyniły się także nie mało do tego...

Dla tego jest to wielkim taktem ze strony rozumnéj szambelanowéj, że będąc ubogą nie pcha się, jak to inni czynią, na salony warszawskie, aby tam być ciężarem, tylko spokojnie siedzi sobie prawie incognito na poddaszu, żyjąc chlebem i wodą. Podobne wypadki bardzo często praktykują się w Paryżu...

Dowcipnisie salonowi wymalowali ubóstwo szambelanowéj w sposób drastyczny. Opowiadali, że nosi jakąś starożytną czapkę futrzaną, starą salopę przewróconą podszewką do góry i w ręku ogromny kosztur. Wnuczka chodzi w perkalikowym szlafroczku, kupionym między żydami na ulicy Kominiarskiéj. Na głowie ma kapelusz stary szambelanowéj z czasów Stanisława Augusta.

Pozwalano nawet sobie z tego powodu stroić żarty i niektóre wykwintne salony straszyć wizytą szambelanowéj.

— Savez-vous, mówiono nie raz do pani wojewodziny, pani szambelanowa wybiera-się z wizytą.

— Mais, c'est drôle! odpowiadano z przestrachem, co my tutaj z nią zrobiemy!... Wnuczka nie umie po francuzku!

— Ale umie lepić doskonałe kołduny!

(Dalszy ciąg nastąpi).



o . . . . .

Przekleństwa synu! co Kaina piętnem
Straszysz w dzień biały Chrystusową trzodę,
Przybywaj do mnie! w uściśnieniu smętnem
Znajdziesz dla siebie gorycz i ochłodę,
Znanyś mi z dawna, gdy życiem namiętnem
Przyniosłeś duszy swojéj wieczną szkodę,
Rzuciwszy cnoty gościniec utarty
I do bram niebios biegnąc i odparty...

Lecz tem, czem jesteś skazany na piekło!
Tem cię mieć pragnę! gościu mój posępny,
Bo jakieś echo podziemne mi rzekło:
Że los nasz jeden, że i ja występny,
Czemu tem bardziéj wierzyć teraz muszę,
Gdy jasne niebo z piersi méj uciekło,
I sam zostałem nieprzystępny skrusze.
A tylko jednéj rozpaczy przystępny..

Lepiéj ci było wraz z bracią Ablową
Przeżuwać życie na pokory zębie,
Kochać na rozkaz i wierzyć na słowo,
Paląc na stosie ofiarnym gołębie,
Niźli do boju stanąwszy z Jehową,
Przeglądać bytu i nicestwa głębie,
Nie byłbeś nosił fatalnéj pieczęci,
Na którą z wstrętem patrzą wniebowzięci!

Razem więc z tobą synu potępienia,
Nad Babylonu wodami usiędziem,
A nieśmiertelni widlkością zwątpienia,
Z swéj piersi głosu strasznego dobędziem,
Z Prometeuszów wiecznością cierpienia,
I z sępem żądzy, męczarni narzędziem,
W własnéj niemocy, skowani łańcnchy,
Zostaniem bratnie dwa stracone duchy!

Lecz nim utoniem w niepamięci fali
Przed okiem ludzi skryci w obłok czarny,
Niech ich pieśń nasza gromem wstydu spali,
Że w nikczemności pędząc żywot marny,
Płazowe szczęście nie wielkość obrali,
Niech ich ród szczesny, cierpliwy i karny,
Z pokorą znosi losów wyrok twardy,
My im zapłaćmy jałmużna pogardy...

El..y.

Grobowiec Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta w Krakowie.

(Z ryciną)

Kraków, ów gród odwiecznych pamiątek, sławy i świetności narodowych, jest tem dla nas, czem jest dla chrześcijaństwa, miasto grobu Pańskiego.

„I na świat widno z halów do koła...
Tylko nam w Tatrach tych dzwonów laszych
I Panny Maryi brakło kościoła...
I ciągnie człeka coś do Krakowa...
Ale co ciągnie?... nie wiedzieć zgoła,
Jednak coś nęci jak do kościoła."

Jakkolwiek każda stopa ziemi, po której w tym grodzie stąpamy, jest pełna pamiątek smutnych i wesołych, jednakże wszystkie bledną przy zamku wawelskim i przy znajdującéj się w nim katedrze monarszéj. Do najwięcéj tam pociągających pamiątek, należą groby królów naszych. Z pomiędzy tych, przedstawiamy dziś czytelnikom dwa grobowce, dwóch Zygmuatów, ojca i syna. Leżą one po prawym boku, sławnéj kaplicy Jagiellońskiéj, jeden na drugim. Oba są z czerwonego marmuru, na wierzchnich płytach, w leżącéj postawie, wykute posągi obu królów. Leżą wsparci na prawéj ręce, z głową w koronie nieco wzniesioną, w zbrojach i płaszczach królewskich, zarzuconych po wierzchu.



Pod tymi grobowcami spoczywają zwłoki ostatnich dwóch Jagiellonów po mieczu. Zamknęli oni ten szereg królów naszych, pod któremi kraj kwitł i wzmagał się. Ojca panowanie jest wspaniałe, rządne i sławne po świecie. Jego osoba w respekcie u współczesnych monarchów, droga Stolicy świętéj, a on zwany Pater principum swego wieku.

Paulus Jovius sławny pisarz swego czasu mawiał: „Gdyby Karól V, cesarz; Franciszek I, król francuzki i Zygmunt, król polski razem nie żyli, każdy z nich trzymałby pierwsze miejsce.

O synie jego mówią historycy, że to pan był mądry, rozsądny i wielkiemi dary od Boga obdarzony. Miał trzy żony a potomka nie zostawił. Literatura kwitła za niego. W tym to czasie błysnęły imiona, Reja, Modrzejewskiego, Orzechowskiego i Trzecieskiego.

Najcelniejszym czynem jego panowania było przeprowadzenie ślubów wiecznych, między koroną królewską Polski i książęcą Litwy. Z piękną Barbarą żałośna była sprawa, — Trzech wieszczów wzięło sobie za temat miłostki Augustowe, ale zminęli się z dramatem. Co tu dziwnego, że król pokochał się w szlachciance litewskiéj i że Barbara kochała króla! Dramatem było to, że August uchybił powinności królewskiéj, biorąc żonę kryjomo, bez przyzwolenia narodu.

Na grobowcach ojca i syna są następujące napisy.

Na ojcowskim czytasz:

D. Sigismundus Jagellonus
Poloniae Rex, Ac Lithuaniae
Dux magnus Scythicus,
Valachicus, Moschovit, Pruss
etc.
Victor ac Triumphator,
Pater petriae
In Hoc monumentum ase
magnificentissime erectum
Illatus Requiescit.

Poniżéj ojca leży syn z napisem.

Sigismundo Augusto
Poloniarum Regi
Et magno Lithuaniae ac
Reliquae Sarmatiae Duci,
Ac Domino principi
Consiliis Promptissimo Factis Lentissimo
Vita Benignissimo Moribus patientissimo
Anna Infans Regni Poloniae, Fratri Benemerenti suo
sumpto Posuit, et suis ipsa Lachrymis conspersit.

GAWĘDA PODSŁUCHANA.

Raz pan Walenty i pan Ignacy,
ulubionego ciągnąc bawara,
odpoczywali po dziennéj pracy;
a że ich przyjaźń łączyła stara
i piwko przytém ostrzyło chętkę,
więc poufałą wiedli gawędkę.

„Wybacz mi, proszę, panie Walenty,"
rzekł pan Ignacy, — „że po przyjaźni
poruszę tutaj temat zaklęty;
wiem, że cię z moich ust nie rozdraźni,
bo, choć nie jestem zresztą ciekawy,
przeć mnie obchodzą przyjaciół sprawy.

Otóż, nie żadna już tajemnica,
bo w całém mieście już o tém plotą,
że pani Marta, twa połowica,
choć to kobieta szczera jak złoto,
jest sobie jednak troszeczkę żwawa
i na hic mulier jakoś zakrawa.

Dawniéj bywało, gdy pani Marta
burczy i łaje w gniewu zapędzie,
męża i dzieci życząc do czarta,
mąż stuli uszy, w kątku usiędzie
i ze spuszczonym ku ziemi nosem
nad swym nieszczęsnym rozmyśla losem.

Dziś, choć się jejmość zżyma i dąsa,
mąż w brylantowym ciągle humorze;
śmieje się gwiżdże, pokręca wąsa,
Nic go już dzisiaj zmatwić nie może.
Dziwią się nad tém starzy i młodzi;..
cóż się w tém kryje?... skąd to pochodzi?“ —

Na to Walenty łyknął z kufelka
i rzekł: „zapewne, drogi sąsiadku,
w tém tajemnica jest bardzo wielka!
Lecz, że ty w równym jesteś przypadku,
że sam niejednę wytrzymasz burzę,
więc jéj odkryciem chętnie ci służę:

Gdy mi raz droga moja żonula
znów z grzmotliwego zagrała tonu,
do poczciwego poszedłem Szmula
wypić kieliszek,... ot dla rezonu!
Lecz, pijąc sobie na tak złą sprawę,
upadłem wreszcie śpiący pod ławę.

I śniło mi się, że gdzieś wśród boru
tak, bez żadnego wędrując celu
i że, z dobrego zboczywszy toru,
po długim czasie, po skrętach wielu,
po wielkiéj trwodze, różnych kłopotach,
gdzieś przy niebieskich stanąłem wrotach.

Pukam;... wychodzi z kluczem Piotr święty
i skoro tylko uchylił bramy:
„„Witaj, zawołał, panie Walenty!
już tu od dawna na cię czekamy.
jesteś nareszcie!... No, wchodźże żwawo,
przecie do nieba całkiem masz prawo!“‟ —

Wchodzę więc;... zewsząd blask bił niezmierny,
żem oczy zamknął w niemałéj biedzie;
lecz mnie szanowny niebios odźwierny
wprost do jakiegoś staruszka wiedzie;...
a choć tam starców moc niezliczona,
poznałem jednak mego patrona.

„„Chódź, rzecze, drogi mój imienniku,
spoczywać teraz w szczęściu i chwale!“‟ —
Idziemy.... Świętych zewsząd bez liku,
że ich policzyć nie mogłem wcale;
przecież poznałem tam takich wiele,
którzy tu u nas wiszą w kościele.

Tam Jan apostół nad książką zgięty;
Łukasz rozściera farby na stole;
w orszaku matron siedzi Wincenty;
a tam Urszula w dziewiczem kole.
Przed każdym czapkę zdejmuję z głowy,
każdy mnie wita dobremi słowy.

Mój wielki patron wziął mnie pod ramię
i daléj idziem wśród licznéj świty,
aż znów przy jakiejś jesteśmy bramie....
patrzę i w miejscu stoję jak wryty,
bo ani mi się opisać uda,
jakiem tam widział dziwy i cuda.

Była to łąka, jasna, kwiecista,
pod lazurowem nieba sklepieniem;
w strumykach woda płynie przejrzysta,
gdzieniegdzie lasek wabi swym cieniem;
pełno tam gruszek, śliw, pomarańczy,
a ptaków cudnych, to jak szarańczy.

Na takiéj łące, w licznych zastępach,
sami mężczyzni gwarzą i chodzą;
jedni z nich drzemią na trawy kępach,
drudzy się znowu w gaikach chłodzą,
lub używają sutéj biesiady,
gdzie im aniołków służą gromady.

Tam, przy aniołów hucznéj kapeli,
gronko młodzieży ochoczo pląsa,
a wszyscy radzi, wszyscy weseli,
nikt się nie smuci, nikt się nie dąsa;..
aż mi się serce rwało za niemi,
bo tak szczęśliwych nie znam na ziemi.

„„Oto, rzekł patron,... za dobre życie
raj ten otwartym jest dla waszeci!“‟ —
patrzę, aż tutaj na bramy szczycie
złocony napis w oczy mi świeci:
„„Temu przybytek ten przeznaczony,
kto zniósł cierpliwie wszechwładztwo żony!“‟

Tum się przebudził! — Od tego czasu
śmieję się w duszy z méj magnifiki,
bo, gdy mi głowa pęka z hałasu,
pomyślę sobie, znosząc jéj krzyki:
„„Choć tu ponoszę piekło przez ciebie,
tam sobie za to pohulam w niebie!“‟ —

Skończył Walenty z radością w oku,
Tonący w myślach pochylił głowę....
ktoś trzeci z dala, siedząc na boku,
całą tych mężów spisał rozmowę.
Niechaj żonatym gwiazda nadziei
świeci w ciernistéj życia kolei! —

J. M.

Kartki z podróży po Georgii.

Tyflis. (Przez J. Grz...)

(Dalszy ciąg).

Czasem naszym zwykle rozporządzaliśmy w ten sposób. Z rana po wypiciu herbaty lub kawy, każdy udawał się w inną stronę. Sarkiz, będąc wezwany z Krymu do Tyflisu, przez patryarchę wszech Armenii, katolikosa Eczmiadzińskiego, do objęcia posady bibliografa, siadywał po kilka godzin dziennie w jednéj z bibliotek tyfliskich, tam pracował nad ułożeniem katalogu, lub też chodził od jednéj redakcyi do drugiéj dzienników ormiańskich, których był współpracownikiem. Kapitan odwiedzał namiestnictwo i urzęda wojskowe w celu odebrania należnych mu sum i pensyi; a ja po dwugodzinnéj pracy w sądzie okrzywnym, udawałem się do publicznéj biblioteki, gdzie zostawałem do 2giéj godziny po południu. Na obiad schodziliśmy się wszyscy do domu, dokąd nam przysyłano od naszego cicerone przyrządzone potrawy w guście wschodnim, a kiedy te nam nie smakowały, poczęliśmy się stołować albo w duchanach, albo w hotelach. Po dwugodzinnym poobiednim odpoczynku, wychodziliśmy razem i zwiedzaliśmy miasto, jego osobliwości, zachodziliśmy do meczetów, karawanserajów, lub czyniliśmy wycieczki pieszo i konno do najbliższych willi i klasztorów, a niekiedy zapędzaliśmy się na dzielnych czerkieskich rumakach aż pod ruiny sąsiednich fortec i zamków, a raz nawet byliśmy w Mechecie. Wieczorem o godzinie 9téj, 10téj zawsze już siedzieliśmy u siebie, w gronie znajomych i przyjaciół Sarkiza Ormian, lub też znajomych mi bliżéj kilku georgianów i trzech czy czterech wygnańców Polakow. O północy rzucaliśmy się w objęcia Morfeusza. Łóżek nie mieliśmy, a sypialiśmy na niskich a szerokich ottomankach z starożytnemi, rzniętemi dość misternie poręczami. Pierwsze dwie noce prawie niespaliśmy: mnóstwo owadów i robactwa niedozwalały nam ani oka zmrużyć; paliliśmy więc świece i słuchaliśmy przygód kapitana. Na

trzecią znużeni dwudniową bezsennością rzuciliśmy się jak martwi na posłanie i niebawem wszyscy trzéj usnęliśmy. Lecz zaledwo dwie godziny upłynyło, poczułem okropny ból na całém ciele, jakbym na szpilkach leżał, a zarazem strzykanie połączone z mrowiem po skórze, rzekłbyś — kilka mrowisk toczyły z sobą walkę lub szły na zdobycie warownego miejsca po mojem ciele. Zerwać się z sofy, zapalić świecę i obudzić krzykiem mniéj czynnych towarzyszy, było rzeczą jednéj sekundy Koszula i pościel we krwi, ciało raz koło razu pocięte i posiekane; spojrzałem na sofę — miriady żyjątek, przestraszone gwałtownym ruchem i światłem, cofnęły się w ściśniętych kolumnach do łożysk swoich! Można sobie wyobrazić, co za obrzydzenie i wstręt poczuliśmy na widok tych przebrzydłych stworzeń. Sarkiz bardziéj gwałtowny i przy swojéj południowéj naturze bardziéj unoszący się gniewem i niecierpliwością, latał jak szalony po pokoju, rwał włosy na głowie, ciskał przekleństwem na cały Tyflis i Georgią, i gotów był zabić naszego cicerone, gdyby go miał w téj chwili w ręku. Kapitan przeciwnie, z najzimniejszą krwią wstał z ottomanki, otrząsł się, zapalił pachitos, rozesłał burkę na podłodze i najspokojniéj w świecie położył się na niéj.

— Bagatelki to są, moi panowie, rzekł po chwili odpowiadając na nasze zdziwienie, to owadki, których tak się lękacie i tak się niemi brzydzicie; przyzwyczaiłem się do nich i uważam je za conditio sinequa non tu na Wschodzie, a zwłaszcza od téj chwili kiedy ich poraz pierwszy poznałem w Taszkencie. Kiedy mię przeniesiono do batalionu strzelców i kiedy poraz pierwsz posłano kompanią, którą dowodziłem, przeciwko Kirgizom, straciłem 15 szeregowców i 2 oficerów; z téj liczby 5 poległo na placu a reszta dostała się do niewoli nieprzyjacielskiéj. Męczyli Moskale strasznie każdego Kirgiza, który tylko miał nieszczęście wpaść w ich ręce; ci zaś ze swéj strony oddawali im stokrotnie wet za wet. Wiedziałem o tém; a ponieważ jeden z oficerów był serdecznym moim przyjacielem i człowiekiem rzadkich zalet, a do tego Polakiem, wszelkich sił do tego użyłem, aby go wykupić z niewoli. Posłałem w zamian 10 pojmanych Kirkizów, wóz wiktuałów i wszystką brzęczącą monetę, jaką tylko miałem przy sobie i poczyniłem wiele obietnic wrazie gdyby mi wrócono wszystkich żołnierzy i oficerów. Powrócił nareszcie tylko T. i opowiadał nam ten rodzaj śmierci, jaki przygotowali żołnierzom Kirkizi. Wykopali jamę, przykryli ją deskami i rohożą, a na wierzch narzucili kilka fur gnoju świeżego. Po trzech dniach kiedy odkryli jamę, pełną była ona pluskw, każda wielkości naszéj muchy letniéj. Rozebrano jednego żołnierza, wrzucono go do jamy i znowu ją w takiż sposób nakryto; po trzech dniach szkielet tylko jego pozostał, resztę objadły pluskwy. Takiż los spotkał i innych. Możecie teraz sądzić, czém są te mikroskopiczne i nieszkodliwe pluskwy, w porównaniu z owemi taszkenckiemi; ile razy tylko wpomnę o nich — brrr... dreszcz mię przejmuje; ale ponieważ tamtych niewidzieliście, a tych się boicie, więc na frasunek — dobry trunek; wszak wiecie, że tu na Kaukazie, na wszelkie utrapienie używają kochetyńskiego. Więc wypijmy po szklance i chodźmy spać. Ale spać już nie mogliśmy.

Nazajutrz zjawił się cicerone.

Sarkiz zaraz z góry natarł na niego i najprzykrzejsze począł mu czynić wymówki — czemu on nie uprzedził przed wynajęciem pomieszkania o téj jego wadzie.

— Ależ zmiłuj się pan, tłómaczył się biedny cicerone, zwykle jąkający się, teraz jeszcze bardziéj począł się jąkać, zmi...i...łuj się... pan, ani jednego domu w całym Tyflisie nie znajdziesz pan, któryby nie był napełniony tą brzydotą; pałac namiestnika nie jest nawet od nich wolen. My tu mamy jedno tylko od nich lekarstwo: ciepłe siarczane kąpiele, którémi się Tyflis sławi. Kąpiąc się często, ciało wsiąka w siebie nieco siarki, a lekki jéj zapach odstrasza robastwo. Niech panowie spróbóją i im prędzéj, tem lepiéj, choćby dziś nawet.

Usłuchaliśmy téj rady i w zwykłéj porze wycieczek naszych poszliśmy do łaźni. Oprócz cicerone, który nam ex officio musiał przewodniczyć, przyłączył się do naszego towarzystwa Gabryel — ter — J.....nian, Ormianin, towarzysz naszéj podróży, któregośmy byli zostawili w Pati.

Droga wypadła nam przez wschodnią część dzielnic: ormiańskiéj, perskiéj i tatarskiéj. Przeszliśmy najpierw naszą uliczką katolicką, jéj kilka zaułków, a ominąwszy plac jeden i drugi, skierowaliśmy się na prawo i kolejno poczęliśmy przechodzić przez tysiące ulic i uliczek, ciemnych, zadymionych, często bez nazwy i imienia, a krzyżujących się i przecinających siebie wzajemnie najnieregularniéj, pod wszelkiemi możliwych rozmiarów kątami. Każda z nich tak wązka, że rozciągnięte ramiona dwóch mężczyzn mogą służyć miarą jéj szerokości. Promień słońca przebijając się z trudnością przez piętrzące się mury tych ulic, niekiedy tylko rzucał blade światło na ich chodniki, często bez trotuarów, a brukowane r ucanemi kawałkami nieforemnych i ostrych kamieni, między szczelinami których mogłeś uwięznąć, albo co najmniéj złamać nogę. Domy wąskie, wysokie, zdaje się, u góry jakby stykały się ze sobą, tak są pochylone. Najmniejszy wózek nie mógłby się przecisnąć i przejechać przez te ulice. Ciężary przenoszą lub przewożą na mułach, których wytrwałość i siłę podziwiać niejednokrotnie mieliśmy sposobność. Małe te, siwe lub myszatego koloru stworzenia z największą flegmą i rezygnacyą znoszą razy żelaznych prętów, od swoich nielitościwych panów; a kiedy ciężary wpakowane na ich grzbiety stają się do nieudźwignienia, zatrzymują się, machają ogonami, trzęsą grzywą i uchem, a pomimo zadawanych im niekiedy ran żelaznemi kołami, dopóty nie ruszą się z miejsca, dopóki zniecierpliwiony gospodarz nie zrzuci z ich karku część ładunku Wodę do domu biorą tu z Kury i rozwożą nie w beczkach a w skórzanych worach, wysmarowanych wewnątrz naftą. Worami takiemi, przybierającemi formę sakw pośrodku wąskich, a po obu końcach szerszych i napełnionych wodą objuczają osły i zebrawszy tych ostatnich kilka, kilkanaście, wiążą każdego z nich do ogona poprzedzającego i z tą karawaną woziwody objeżdżają wszystkie ulice, wołając: woda, woda. Ubożsi, którym nie starczy na taką karawanę, muszą poprzestać na jednym ośle lub koniu.

Równolegle do płynącéj w tém miejscu odnogi Kury, ciągnie się kilka ulic nieco porządniejszych, szerszych; więcéj tam życia i rozmaitości. Domy, chociaż ściśnięte i spiętrzone jedne na drugich ale nie mają téj monotonnéj struktury, jaką zachowano w budowie innych ulic. Tu widzisz kilka kościołów gregoryańskich i greckich, poszczerbionych, porysowanych, noszących ślady napadu Arabów i Tatarów; tam meczet perski lekkiéj maurytańskiéj architektury z strzelającym do góry wysmukłym minoretem; ztąd wygląda wązki, wysoki z połamanemi nogami zdobiący go kariatył — dawniéj pałac któregoś z książąt krwi królewskiéj, teraz szpital, — wiecznie ciemny i ponury, a zarazem poważny wyciągnięty, rzekłbyś — żołnierz na szyldwachu; ztamtąd jakiś osadkowaty, szeroki budynek z mnóstwem budek, straganów, niezgrabnych galeryi, pokrzywionych wschodów, wciąż zapchanych tłoczącą się dziatwą — istna przekupka z wiktuałami na rynku. A nieco daléj pokazują się resztki czasowéj rezydencyi królów Georgii, zapomniane i zarzucone śmieciem, lada chwila, dziś, jutro zamienione na magazyn lub arsenał. A jednak przez ciąg wieków kilkunastu, tak tu było gwarno i ruchliwie! Ileż to krwawych dramatów odegrano na téj nie wielkiéj przestrzeni! Ileż to razy waleczny Georgianin piersią swoją zasłaniał te ulice od napływu dzi-

kich hord wrogów, ręką swoją bronił każdą piędź téj ziemi przed żołdactwem. Dżelal-ed-dina, Timura, Nadira-szacha!

Między tą nadkurską częścią miasta a tamtą ormiańską, jest kilkanaście poprzecznych uliczek, zamieszkałych przez samych rzemieślników; każda wyłącznie należy do jednego cechu. Jest ulica krawiecka, gdzie sami krawcy mieszkają, ulica szewska, sami szewcy, kowalska, kowale, arsenalska, gdzie pracownie i składy różnéj broni: rusznic, pałaszów, kindżałów, pistoletów etc. Przypomina mi to środkową Rosyę, gdzie bywają osady i wsie, liczące niekiedy do dwóch i więcéj tysięcy mieszkańców, wyłącznie, jednego rzemiosła: tkaczy, szewców, krawców i t. d.

Przeszedłszy te ulice, zwróciliśmy na prawo i przeszliśmy szereg uliczek z kramami korzennemi. Cicerone zaleciwszy baczność i ostrożność względem kieszeni naszych, wprowadził nas przez ogromną bramę murowaną, do budynku kilkopiętrowego, nieco wzniesionego nad poziom ulicy. Trudno powiedzieć, czy to dom jeden, czy połączenie kilkunastu. Na prawo i na lewo ciągną się stusążniowe wysokie mury pod jednym dachem, zupełnie tak jak gdyby to była ulica z domami lub kamienicami, nakryta żelazną arkadą. Wzdłuż jednéj strony muru ciągnęły się potwierane sklepy z zawalonemi materyami Wschodu, a przy drzwiach każdego z nich siedział chudy, z nachmurzoną twarzą Pers, ciskający złowrogie spojrzenia na przechodnia. Broda jego, wąsy, brwi, włosy pomimo lśniącéj kruczéj barwy, zafarbowane były szafranem, a tak umiejętnie i misternie, że na tle czarném występowały mieniące się pręgi żółtawe, za każdą falą światła przechodzące na odcienia kanarkowe, bursztynowe, gumiguty, zupełnie jak mora. Zapewne, tem farbowaniem chcą oni każdemu przypomnieć, że są dziećmi słońca, bo nawet i paznogcie na palcach powleczono żółtą farbą. Każdy z tych perskich kupców poważny, dumny i jeśliś przyszedł do niego kupować, to zmierzy cię kilkakrotnie od stóp do głowy z pogardą i odwróci milcząc wzrok swój w inną stronę, jak gdyby nie życzył mieć z tobą nic do czynienia; ponowione z twéj strony nalegania, zmuszają go dopiero do wejścia do sklepu i zapytania czego żądasz. Ze strony przeciwnéj muru takież sklepy, lecz w nich najczęściéj rzeczy galanteryjne, a u wejścia leniwie Turki półleżąc na sofkach lub siedząc na nich z założonemi na krzyż i podsuniętemi pod siebie nogami, ciągną z długich kilkołokciowych kauczukowych cybuchów błękitnych, dymek stambułu, a otoczywszy się jego kłębami odsłaniają od czasu do czasu swoje zawoje i niedbale przeciągają ręką do obok stojącéj filiżanki z czarną mokką; fajki używają tylko w czasie spacerów, a ów kauczukowy cybuch połączony z ogromną fajerką, u góry napełnioną żarzącym się węglem, u dołu wodą, przez którą przechodząc dym tytuniowy jest chłodnym i smaczniejszym; to ich tak zwane kaliany. Światło wschodzące przez wrota oświecało na wpół tylko te kramy wschodnich materyi, także postacie poważnych muzułmanów rysowały się nie jasno, nie wyraźnie, otoczone półświatłem, półcieniem.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Otrzymaliśmy następujące pismo:

„Jako przyczynek do artykułu zamieszczonego w numerze 5 Sobótki pod napisem „Mikołaj Kopernik“ zechciéj, Szanowny Redaktorze, umieścić w piśmie swém, co następuje:

Przed kilku tygodniami byłem w Frauenburgu, owém mieście, które, że tak powiem, drugiém wielkiemu ziomkowi naszemu stało się miastem ojczystém. Stanąłem w hotelu „zum Copernicus,“ który lubo najlepszą w Frauenburgu jest oberżą, żadnego wielkiemu rodaka naszego imieniu nie przynosi zaszczytu. W hotelu tym znajduje się jako inwentarz gruntowy stary i piękny obraz Kopernika, od którego hotel ten wziął nazwę. Jeżeliby tylko gospodarz był skłonnym pozbyć się obrazu tego, wartoby wydobyć go z brudnéj téj jamy. Widziałem daléj wieżą, która służyła Kopernikowi jako obserwatoryum astronomiczne, i lubo sam nie znajdowałem się na niéj, to jednakowoż wedle mniemania tych, z którymi mówiłem, najswobodniejszy i najpiękniejszy z wieży téj przedstawia się widok. Wieża ta wznosi się ponad zabudowaniami, należącemi do tumu, który leży na wysokim pagórka i dziś jeszcze przedstawia pozór małéj fortecy. W dolnéj części miasta, na miejscu odosobnioném, wznosi się nad kanałem, zwanym „Baudecanal“ ogromna wieża, którą zbudował Kopernik, i w któréj założył wodociągi dla zaopatrzenia w wodę zabudowań tumskich i wyżéj położonych domów mieszkalnych. Wodociągi dziś już nie istnieją, ale są jeszcze starcy, którzy wewnętrzne i celowi temu odpowiednie urządzenie wieży pamiętają. Zewnątrz wieży znajduje się napis, odnoszący się do jéj przeznaczenia i do Kopernika jako założyciela; pochodzi on jednakże z czasów późniejszych. Był więc Kopernik nie tylko astronomem, lecz także doskonałym jak na czasy swe mechanikiem.

Pomiędzy wyliczonemi w wspomnianym artykule Sobótki pomnikami nie znajduję wzmianki o pomniku spiżowym, który wystawił z własnych funduszów uczony nasz ks. Staszic, o czém przecież Pamiętniki Kajetana Koźmiana dość często wspominają. Przytoczę tu tylko na dowód tego wiersze, które tenże Kajetan Koźmian położył pod wizerunkiem ks. Staszica:

„W pracach nad szczęściem kraju . . . . .
. . . .
Z jego daru Kopernik w śpiżu ziomkom złożył,
Jemu na pomnik ziomek i głazu nie złożył.“

W końcu wybaczy mi szanowny autor wspomnionego artykułu, że śmiem podać w wątpliwość prawdziwość nazwiska wuja Kopernika, którego on nazywa „Weisselrod.“ Otóż archiwa kapituły w Frauenburgu i jeśli się mocno nie mylę, Śniadecki w życiorysie Kopernika nazywają go „Watzelrode.“

Wrocław w lutym.

Glinkiewicz Józef,
uczeń wydz. teol.

Kalendarz historyczny polski.

Dnia 19 lutego: 1472. Urodzenie Mikołaja Kopernika. 1578. Stefan Batory ustanawia trybunały w Piotrkowie i Lublinie. 1594. Koronacya w Upsali Zygmunta III na króla szwedzkiego. 1629. Bitwa ze Szwedami pod Górznem. 1613. Sejm nadzwyczajny z okoliczności konfederacyi wojska. 1831. Bitwy z Moskwą pod Wawrem i Ryczywołem. 1831. Zawiązanie towarzystwa patryotycznego podolskiego.

Dnia 20 lutego: 1387. Porównanie w przywilejach szlachty litewskiéj z Koroną. 1494. Księstwa Oświecimskie i Zatorskie do Korony wcielone. 1662. Protestacya przeciw obieraniu następcy tronu. 1831. Początek Grochowskiéj potrzeby.

Dnia 21 lutego: 1544. Koronacya Zygmunta Augusta. 1569. Śmierć hetmana Mikołaja Sieniawskiego. 1574. Koronacya Henryka Walezyusza. 1613. Maryna Mniszchówna utopiona przez Moskali.

Dnia 22 lutego: 1382. Założenie Częstochowy. 1387. Chrzest Litwy. 1607. Odnowiony rokosz Zebrzydowskiego.

Dnia 23 lutego. 1766 Śmierć Stanisława Leszczyńskiego. 1820. Śmierć poety Felińskiego. 1834. Śmierć jenerała Samuela Różyckiego.

Dnia 24 lutego: 1582. Zdobycie Dorpatu. 1793. Manifest króla pruskiego przeciw Gdańskowi.

Dnia 25 lutego: 1563. Zajęcie Połocka przez Moskwę. 1731. Hołd księcia kurlandskiego. 1831. Krwawa rozprawa z Moskwą pod Grochowem. 1832. Zawiązanie w Londynie towarzystwa literackiego.

Zagadka.

Co pierwsza i ostatnia głoska czterech imion własnych zestawione obok siebie, dają inne imię własne sławnego poety. Pierwsze oznacza towarzystwo pewne galicyjskie, drugie zamek niedaleko Krakowa, którego sterczą jeszcze tylko ruiny, trzecie poetę dramatycznego, czwarte żyjącego jeszcze powieściopisarza.

(Rozwiązanie szarady w nr. 7: ***Madaliński***).

Korespondencya Redakcyi.

Pani Wład. Gorwalińskiéj w Brodach. Żałujemy że list za późno nas doszedł. — Ks. Lipk. w Wyrzyoku: Nadeślemy. — Hr. Wład. Platerowi w Zurychu: Zamieścimy w przyszłym numerze.